



Pragnienie zemsty może
sprawić, że straci wszystko.
Nawet ją.

Dla fanów *Raw* i *Jej Stalkera*

PRAGNIENIE *zemsty*

MONIKA GAJOS



Copyright © 2022
Monika Gajos
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Katarzyna Moch
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-927-1

MONIKA GAJOS

PRAGNIENIE ZEMSTY

OŚWIĘCIM 2022

Rozdział 1

Samuel

Śnieżynka.

Mała, pierdolona śnieżynka.

Przypomina mi ją. Och, kurwa, i to bardzo! Z wyglądu, z zachowania. Jest delikatna, dokładnie tak jak ona. Taka krucha, taka wrażliwa. Każdy ruch wykonuje z gracją, pewną subtelnością, której nawet pieprzony płatek śniegu mógłby pozazdrościć. I tak jak on, długo nie przetrwa. Mam ją prawie w garści. Wystarczy, że zamknę wokół niej dłonie, a ulegnie pod wpływem nacisku. Będzie po niej. To kwestia czasu. Kilku chwil, nad którymi mam pełną kontrolę. Nadal nie zacisnąłem palców.

Jeszcze nie teraz.

Czekam na właściwy moment, a jestem cierpliwym graczem. W końcu trwałem w zawieszeniu całe cztery lata. I wystarczy. Nie chcę przeciągać dłużej niż to konieczne, zbytnia zwłoka nie- sie za sobą coraz większe ryzyko niepowodzenia. Nie mogę po- pełnić błędu. Nie stać mnie na to.

Już nie.

Przeglądałam się dziewczynce, która wciąż wiruje na lodzie. Obraca się wokół własnej osi raz po raz i cieszy się przy tym idiotycznie. Jakby miała z czego, jakby brała za pewnik to, że jutro nadejdzie. Rozwieję te wątle nadzieje. W końcu w życiu niczego nie można być pewnym. Ja byłem. Przez jakiś czas na- prawdę żyłem w przekonaniu, że nic nie będzie w stanie mnie złamać. To był pierwszy błąd. Kolejnym było uznanie, że swoją

niezłomnością ochronię wszystko, na czym mi zależało. Otaczająca mnie pustka jest oczywistym dowodem porażki.

Wszystko przez nich.

Przez niego.

Odszukuję go wzrokiem akurat wtedy, kiedy przytula do siebie swoją kobietę. *Miło, kurwa*. Mnie tak nie było, gdy nagle zostałem pozbawiony tchu, a ziemia osunęła mi się spod nóg. Za jego sprawą. Teraz to wiem, choć tak starannie ukrywał prawdę, że na moment sam pozwoliłem się oszukać. Ona jednak zawsze wypływa na wierzch. Prędzej czy później. Wystarczyło nadstawić ucho w odpowiednim kierunku i wsłuchać się w prawdziwie przyjacielskie, uczynne szept. Stało się. Zdrajca został ujawniony. Stoi teraz w świetle reflektorów, a cała mistyfikacja rozsypała się w drobny pył. Nie jest jeszcze tego świadomy, jasność nie zdążyła porazić go w oczy. Przykre. Odebrał mi coś, co było dla mnie najważniejsze, ale zdaje się wcale o tym nie pamiętać. *To nie!* Przypomnę mu. Wskreszę dawne wspomnienia, bo bardzo chcę mu podziękować. Zawsze byliśmy sobie równi i tym razem też tak będzie.

Fakt, że mógłbym to zrobić nawet w tym momencie, jest, kurwa, przeżabawny. Dylan nie zwraca na mnie uwagi, choć nie chowam się szczególnie. Gdyby tylko się rozejrzył, sam by się o tym przekonał. Niestety przez lata upływające mu w spokoju stracił czujność i nadal trzyma się kurczowo tego idiotycznego przekonania, że jeżeli coś nie nadeszło od razu, to nie nadejdzie nigdy. A przecież zemsta najlepiej smakuje na zimno. Dopiero wtedy można tak naprawdę się nią delektować, bez narażania się jednocześnie na poparzenie. Nie rozumie tego. Nie myśli, nie analizuje. Nie uważa. Poczuł się cholernie bezpiecznie i jest za bardzo pochłonięty zabawą. Uciekł od przeszłości. Pozornie i tylko we własnych przekonaniach, bo od niej nie da się zwać, nawet gdyby biegło się najszybciej, jak to możliwe. Jemu już teraz płaczą się nogi, choć przecież ułożył sobie swoją bajkę

i wydaje się w niej naprawdę szczęśliwy. Pięknie. Tylko dobre zakończenie nie jest pisane dla wszystkich.

Najbardziej wkurwia mnie owoc ich miłości.

Maddison.

– Mamo, mamo! – Jak na żądanie dźwięczny dziecięcy śmiech niesie się przez tłumy i dociera do moich uszu, ostro wbijając się w bębenki, aż zgrzytam zębami. – Patrz, umiem na jednej nodze!

Mimo że polecenie nie było skierowane do mnie, ja też patrzę. I cóż, to nie skończy się dobrze.

Nie ma, kurwa, opcji.

– Ślicznie, skarbie!

– Tatuś mnie nauczył! – Cieszy się mała. – O, a spójrz teraz! Będzie piu... piruet! Jak panie w telewizji!

Dziewczynka musi czuć na sobie to spojrzenie, bo zamiast mknąć dalej po lodzie i kręcić te jebane kółka, zatrzymuje się raptownie i odwraca w moją stronę, a uśmiech znika z jej ust, jakby właśnie zobaczyła przed sobą potwora, który do tej pory grzecznie siedział pod łóżkiem. Straszyl, ale przecież był niegroźny. Teraz przestał się chować. I jest.

Jestem.

Stoję przy bandzie pośród tłumu, nie wyróżniając się niczym szczególnym, ale mam wrażenie, że ona patrzy wyłącznie na mnie. Tak jakby czegoś się domyślała. Jakby już wiedziała. Ma długie blond włosy jak jej matka i duże błękitne oczy, dokładnie takie jak ojciec. Płatanina dobrych genów stworzyła dziecko o urodzie lalki z niemal porcelanową cerą oraz wyraźnie zarysowanymi policzkami, które teraz mróz dodatkowo naznaczył mocnymi rumieńcami. Łapiemy kontakt, choć wydaje mi się, że tylko ja trzymam ją w swoich siłach. To, że tkwi w bezruchu i ciągle utrzymuje pion, jest moją zasługą. Chcę tak myśleć. Wystarczy, że mrugnę, a niewidzialne nitki zostaną brutalnie przerwane. Straci oparcie jak drewniana kukiełeczka, której ktoś dla zabawy odciął sznurki. Robię to z olbrzymią przyjemnością. Na-

ciągam kaptur na łeb i odwracam głowę w bok. Ostatnie, co widzę, zanim przerywam to połączenie, to to, jak Maddie otwiera różane usteczka w wyrazie zdumienia i traci równowagę. Gleba. Upada na łód i leży.

Mówiłem, że będzie boleć. A to nawet nie początek.

Koniec przedstawienia.

Na razie.

Nie oglądam się za siebie, bo to nie do mnie należy sprzątanie po tym spektaklu. Jak zawodowy człowiek-cień znikam, gdy pojawia się zbyt wiele światła. Odchodzę, wracam do swojego królestwa.

Opuszczam urocze tereny West Village i kieruję się na południe, wzdłuż Jefferson Avenue. Zostawiam daleko za sobą lodowisko oraz ciąg identycznych, wzorowo zadbanych, białych domów jednorodzinnych wyjętych rodem z katalogu jednej z topowych deweloperskich agencji. Klony, zero unikalności. Nawet pieprzone paprotki zdają się stać na parapetach dokładnie w tych samych miejscach. I te fury! Żwirowe podjazdy zajęte są przez prawdziwe bestie, o jakich marzą nastoletni chłopcy. Marzą i śnią, wieszając nad swoimi łózkami plakaty z podobiznami tych cacek, a potem harują całe życie, wlepiając tęskne spojrzenia w obrazki, jakby siła myśli miała sprawić, że te się zmaterializują. Niestety, dla większości auta nie chcą ani stać się trochę bardziej realne, ani dojechać bliżej, aby znaleźć się na wyciągnięcie ręki. Zerkam na nie ukradkiem i przyspieszam kroku, żeby nie kusić losu, a wraz z pokonaną odległością bogactwo zdaje się rozpraszać, rozmieniać na drobne. Rozsypywać. Zaniakać... Przemierzam kolejne ulice i wchodzę coraz głębiej w mrok. Dopiero kiedy nie wyczuwam zapachu mamony, biorę głębszy oddech. Paradoksalnie jest mi lepiej, bo już miałem wrażenie, że cudzy dobrobyt w końcu mnie udusi.

Pogrąży w bezdechu.

To Morningside przynosi otrzeźwienie. Jak zawsze. Chociaż od lat już krążę po świecie i podróżuję niczym niespokojny duch, wędrowiec, uciekinier, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej, to od tej dzielnicy odbijam się najczęściej. Kolebka młodości zapewniająca cholerny powrót do korzeni, a tak naprawdę podły rejon, pełen rozsypujących się budynków oraz ledwo przędących firm na skraju bankructwa. Siedziba żałości i niespełnionych aspiracji. To tutaj też znajduje się nora, w której się wychowałem. Mieszkanie moich starych. Opustoszałe, bo oni sami zbyt wcześnie zwinęli się z tego świata. Ich już nie ma, ale przytulne gniazdko w każdej chwili pozostaje dla mnie dostępne. Mogę się w nim schować niczym w matczynych ramionach. Oczywiście pozostając cały czas czujnym i nie pozwalając się przez nie zmiażdżyć.

Przyznaję, czasem chciałbym uwolnić się od tego miejsca równie mocno jak od męczącej przeszłości. Powinienem zrobić to dawno, ale sama świadomość nie sprawia, że cel jest bardziej realny. I nie stanie się taki, bo wciąż ciągną mnie tu niedokończone sprawy, niewyjaśnione spory. Nic dobrego, a jednak przekraczając umowną granicę między dzielnicami, nabieram pewności, że właśnie tu mogę być tak naprawdę sobą. Nic mnie nie zaskoczy. Nie jest w stanie.

Bieda nigdy nie była dla mnie obca, towarzyszyła mi już od dziecka. Przez okrągłe ćwierć wieku na zmianę woziła się na moich barkach, a gdy w jakiś sposób udawało mi się ją zrzucić i uciec, niemal natychmiast mnie doganiała, by z uporem maniaka znowu zacząć deptać po piętach. Mieliśmy tylko chwilo- wy rozłam, gdy porzuciłem znajomość z nią na rzecz kontaktów z odpowiednimi ludźmi. Zapracowałem na ich uwagę, a oni wprowadzili mnie w zupełnie inny, wcześniej pozostający poza wszelkim zasięgiem świat. Na moment. Zbyt krótki. Zbyt długi. Liznałem bogactwa i był to przyjemny smak, nadal czuję go w ustach, bo nie da się o nim tak łatwo zapomnieć, ale jego utrata wcale nie była bolesna. Raczej okazała się oczekiwana. Może dla-

tego mijane właśnie pustostany nie robią na mnie takiego wrażenia, jak powinny.

Mnóstwo rzeczy mogło się we mnie zmienić, ale stare przyzwyczajenia trudno z siebie wyplenić ot tak. Tylko z tym sobie nie radzę. Całą resztę szlag jasny trafił. I dobrze. Jestem pewien, że niewielu, mając przed sobą to, co obecnie reprezentuję, dopatrzyłoby się we mnie tego człowieka, którym byłem kiedyś. Pewnie uznaliby, że w niczym go już nie przypominam. Słusznie. Zmiany zaszły, i to nie tylko fizyczne. Tamtego kolesia już nie ma.

Ukatrupiłem sam siebie.

Nie dosłownie, ale zabójstwo zmienia ludzi. Dokonując go po raz pierwszy, morderca tłamsi w sobie człowieczeństwo, niewinność, z jaką każdy przychodzi na ten padół łez. Coś się zmienia, coś znika. Nieodwołalnie. Nie ma znaczenia, że w tym przypadku nie był to dobrowolny strzał, a raczej oddany w rozpacz, żeby pomścić kogoś, kto miał szansę jeszcze pobyć na tym świecie, ale ktoś inny uznał, że był już wystarczająco długo. Fakty pozostają faktami. Kulka poszła w ruch, trafiła w cel, choć z perspektywy czasu wiem, że nie ten, który powinien zostać obrany. To nie ma znaczenia, bo mentalnie i tak odbiła się rykoszetem. Jeden mózg na ścianie, a trupy mamy dwa.

Z tej drogi nie ma już powrotu.

Wszedłem na nią po raz pierwszy wiele lat temu, choć mój debiut był nieplanowany. Wymusił go fatalny zbieg okoliczności, ale jego konsekwencje zbyt łatwo zostały zaakceptowane. Znalazłem dla siebie usprawiedliwienie i z każdym kolejnym razem rozbudowywałem je coraz bardziej. Początkowo była to tylko piekielna potrzeba sprawiedliwości, potem walka o przeżycie, nagląca potrzeba utrzymania się w pionie, aż w końcu odpuściłem i przestałem na siłę się wybielać. Wraz z biegiem czasu i liczbą posłanych do piachu ludzi to przestało już mieć znaczenie. Wszystko, co gryzło i nie dawało mi spokoju, stało się jedynie podłym przyzwyczajeniem.

Zaakceptowałem to, że stałem się mordercą.

Zbliża się wieczór, szybko zapada zmrok. Witam go z radością, siadając na schodkach prowadzących do starej kamienicy. Chcę się nim napawać, póki całkiem mnie nie pochłonie i nie sprawi, że staniemy się pierdoloną jednością. W końcu ciemność to ja. Od zawsze. Tak samo straszni, tak samo odpychający. *Zajebicie*. Nie potrzebuję nikogo, a ludzie nie chcą otaczać się większym mrokiem, niż są w stanie znieść i samemu przy tym nie zgasnąć. Wszyscy się tego boją. Uciekają. Desperacko szukają światła nawet tam, gdzie go nie ma i gdzie nigdy nie zapłonie. Sztucznie kreowane nie jest w stanie sprostać zadaniu, a mimo to niektórzy próbują udawać.

W jednym z metalowych koszy po drugiej stronie ulicy ktoś właśnie podpalił śmieci, rozpałił ognisko. Ustawiają się wokół niego zmarznęte tłumy, spragnione ciepła i jasności, jakby to ono mogło cokolwiek zmienić w ich podłych życiach. Wyciągają brudne łapy, żeby choć na chwilę je ogrzać i ochronić przed mrozem. Bezwolne ludziki. Poddają się powiewom wiatru. Lecą tam, gdzie ich zawieje, nie próbując stawiać temu czoła. Cierpią i płaczą, ale nie robią nic, aby polepszyć swój byt. Biorą tylko to, co daje im los, i nie chcą choćby pomyśleć, że da się osiągnąć coś więcej. Przegrani krety.

Wodzę wzrokiem po osmolonych twarzach. Znam historie właściwie każdego z nich. Wiem, co stało się w ich życiach, co zawaliło, co nie zadziało tak, jak powinno. Kto kupił i stracił, kogo poniosły emocje i opuściło opanowanie. Efekt jest jednak taki. Niczym się od siebie nie różnią. Szara masa, zero wyższych uczuć, choćby najmniejszej chęci zmiany czegokolwiek. Wszędzie za to potworne zobojętnienie i tępota, jakby nie zależało im już na niczym.

Robi mi się od nich niedobrze. Patrząc na ten obrazek, dociera do mnie, że się mylę. To nie ja żyję w ciemności. To oni błędzą na oślep. Wszyscy są tacy sami, nikt się nie wybija. Prawie.

Prawie, bo wtedy dostrzegam właśnie ją.

Dziewczyna w szarym, znoszonym swetrze stoi pośród tłumu. Jednak jeżeli chciała się wtopić w grupę, to ta sztuka jej nie wychodzi. Przed nią nikt nie odwraca wzroku. Nikt nie chce uciekać. Chociaż ma na sobie stylizację ubogiej staruszki i stara się nie wyróżniać, to i tak na pierwszy rzut oka widać, że się tu nie odnajduje. Musi być nowa. Albo zwyczajnie ściemnia. Zdradza ją to bystre, pełne energii spojrzenie błękitnych tęczywek. Wciąż można dostrzec w nich isierkę inteligencji, która wraz z pobytem na ulicy stopniowo gaśnie. U niej jest niezmacona. Jeszcze. I kusi wszystkich, bo lgną do niej jak głupie ćmy do światła lampy. To może być tragiczne zderzenie. Zabójcze. Ale ich to nie rusza. Zupełnie jakby zapomnieli, że na ulicy liczy się nieufność. Zbytńia poufałość zwykle okazuje się bolesna, a nieznamoma tak mocno promienieje tym wewnętrznym blaskiem, że to aż razi.

Krząta się między grupkami bezdomnych. Panuje cholerny ziąb, ale ona nie ma na sobie kurtki. Na dłonie naciągnęła jedynie wełniane rękawiczki, ale dziwne takie, bez palców. Mogłaby sobie darować. One jej nie pomogą, nie ochronią przed mrozem ani przed niczym, co może ją tutaj jeszcze spotkać. Wystarczy na nią spojrzeć. Opuszki już ma zaczerwienione. Widzę to dokładnie, bo obserwuję, jak raz po raz sięga do dużego, blaszanego gara, który przywieźli wolontariusze. Przywieźli i tyle, bo to ona ich wyręcza. Przejęła metalową chochlę i sama chętnie rozlewa zupę, po czym rozdaje parujące talerze zgromadzonym. A raczej stara się to robić, ale z trudem nadaża w pojedynek, bo tłum wciąż się powiększa, napływa. Na nikim nie robi to jednak wrażenia. Dwóch młodych mężczyzn z Fundacji, którzy być może mogliby jej pomóc, wcale się do tego nie pali. Stoją obok auta bezczynnie i ucinają sobie pogawędkę, jarając fajki. Ignorują ją, a ona działa i nie prosi o nic.

Intryguje mnie.

Blond włosy, tak jasne, że sprawiają wrażenie wręcz srebrnych, kręcą się w drobne sprężynki. Podskakują przy każdym ruchu, gdy odczynia te swoje dzikie tańce wokół gara. Trzeba przyznać, że wczuła się w rolę gospodyni. Krąży niczym zawodowa czarownica, zmysłowa wiedźma, choć ta czupryna nadal wygląda jak aureola. *Aniołek*. Tak, zdecydowanie bliżej jej do anioła. Musiała gruchnąć z wysoka o ziemię, bo nikt normalny nie wzięłby dobrowolnie udziału w karmieniu tych szmaciarzy, życiowych nieudaczników i podłych szumowin z całego miasta, zgromadzonych w jednym punkcie. To nie jest dobre miejsce, brak tu dobrych ludzi. Dobroć, którą ona przytасzczyła ze sobą, może okazać się niewystarczająca i pod naporem ciemności zwyczajnie zgasnąć. Dziewczynie najwyraźniej sprawia to kurewską radość, bo uśmiecha się do każdego łagodnie i z czułością, jakby nie widziała, że przecież oni sami zapracowali na swój los. Gdyby postarali się bardziej, nie skończyliby w ten sposób.

Chcę się dowiedzieć, kim ona jest i dlaczego tak bardzo rządzi się w mojej dzielnicy. Czemu przejęła panowanie i czuje się tu tak pewnie, gdy zniknąłem ledwie na chwilę. Wstaję i podchodzę bliżej. Poruszam się jak w transie, choć czujność nie chce się ode mnie odzepić. Wrzeszczy zawzięcie, ale ją uciszam. Przechodzę przez ulicę, nie spuszczać oka z nieznajomej.

Ledwie zauważam, że od gara właśnie odsuwa się jeden z dzieciaków od Campbellów. Nigdzie nie ma jego młodszej siostry ani ich starych. On z kolei jest tak zaaferowany, że nie zwraca na nic uwagi. Niechętnie rzucam na niego okiem. Brudne łachmany wiszą na nim luźno jak na wieszaku, a obsmarowana sadzą buźka zmizerniała od ostatniego razu, gdy widziałem go kręcącego się po okolicy. Teraz jest jeszcze barwniejsza, bo zdołała ją kilka nowych siniaków. Trzyma w małych dłoniach talerz z zupą. Kurczowo, jakby od tego, czy dotrze z nim do celu, zależało całe jego życie. Albo i nie tylko jego, bo nie zabiera się od razu za jedzenie, a szybko oddala od zbiegowiska. Dzielnie

niesie swoją zdobycz. Jest skupiony na niej do tego stopnia, że nie patrzy, dokąd zmierza, a kieruje się prosto w moją stronę. I to błąd. Diabelski.

Los lubi kpić z człowieka. Czasami rzuca mu pod nogi głazy, a czasami kamyki. Dla niektórych nawet ziarnko piasku może okazać się problematyczne i być przyczyną porażki. Tak jak tutaj, bo łamaga potyka się na prostej drodze. Co gorsza, znajduje się zbyt blisko, przez co cała zawartość naczynia chlusta prosto na moje spodnie. Gorąco przenika przez warstwę materiału, ale nawet nie drgnę. Nie mrugam. Zatrzymuję się, a dzieciak unosi podbródek i spogląda na mnie ze strachem. Nie wiem, czy bardziej obawia się konfrontacji ze mną, czy tego, co zrobią z nim jego starzy, gdy okaże się, że jednak nie załatwił żarcia. Nie potrafię go rozszyfrować, ale młody prawie robi pod siebie.

– Pierdolona niezdara – warczę, a on się trzęsie. W oczach zbierają się mu łzy, ale mimo to trzyma dziarsko uniesiony podbródek, jakby miał zamiar stawić mi czoła. Jakby był tutaj górą. A raczej nie miał innego wyboru niż tkwienie w tej iluzji. Zabawny dzieciak. – Wiesz, co tutaj robi się z takimi jak ty?

Nie kończę swojej groźby, bo w całe zajście miesza się intruz o anielskich włosach i niebiańskim spojrzeniu. Widocznie porzuciła rolę polowej kucharki, bo biegnie w naszą stronę w sprinterskim stylu. Kobieta stu talentów. Jestem ciekawy, co jeszcze będzie w stanie pokazać. Chętnie bym się o tym przekonał choćby na własnej skórze.

– Aaron! – Chwyta chłopca w objęcia. – Nic ci się nie stało?

Odsuwa go na moment, na wyciągnięcie ramion, przygląda mu się uważnie z każdej strony, szukając obrażeń, a kiedy upewnia się, że jedynym poszkodowanym w tym zdarzeniu jestem tylko ja, natychmiast go do siebie tuli. Zasłania sobą, jakby to było w stanie obronić go przede mną. Nie jest. Gdybym tylko chciał, zjadłbym ich oboje za jednym razem. To żadne wyzwanie i może właśnie dlatego go nie podejmuję.

– Jeszcze jest cały, ale to się może zmienić, jeżeli nie nauczy się uważać – przemawiam w imieniu cykora, bo on najwyraźniej nie jest w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Anielica przenosi wzrok na mnie. *Wkurwiona anielica*, poprawiam się w myślach. Iskierka złości skrzy się w jej oczach, ale nagromadzone pokłady dobroci zaraz ją gaszą i strofują. Anioł zemsty niemal mógłby pozazdrościć wytrwałości w niesieniu nienawiści. *Niemal...*

– To tylko dziecko – odzywa się hardo i wstaje z kolan, podpierając się dłońmi pod boki, a mały chowa się za jej plecami. Unoszę brwi w odpowiedzi na tę oczywistość. – Mógłbyś być bardziej wyrozumiały!

– Widzę przecież, że nie pies. Dziecko. Gówniarz. Bachor – rzucam luźno, bez zastanowienia.

Chłopak wychyla się na moment zza swojej obrończyni, ale nie miesza się w dyskusję. Przysłuchuje się w milczeniu tej wymianie zdań, przeskakując zaleknionym wzrokiem między nami, po czym zwyczajnie rzuca się do ucieczki. Zwiewa bez słowa pożegnania, zostawiając dziewczynę sam na sam ze mną.

To by było na tyle z jego wdzięczności i wsparcia.

– Nazywaj dzieciaka, jak chcesz, ale właśnie ich pozbyć się jest najłatwiej – kontynuuję, ponownie koncentrując się na dziewczynie. – Małe truchło, lekka sprawa. Nie zdziw się, jeżeli następny razem go tutaj nie ujrysz.

Nieznajoma bierze głęboki wdech, aż drobna pierś unosi się i opada w gwałtownym ruchu. Bezczelnie spoglądam jej w dekolt, a ona miazdży mnie tym sarnim spojrzeniem, z którego nie zrzuciła wcale łagodności.

Aua, faktycznie mogłoby zboleć.

– A jak już się tak pouczamy, to też ci dam radę, aniołku – mruczę cicho.

Chwytam ją za kosmyk włosów i zaplatam wokół palca, zanim udaje jej się odsunąć. Nieznajoma szarpie gwałtownie głó-

wą, ale trzymam zbyt mocno, aby mogła się łatwo oswobodzić. Wygląda na zaskoczoną, i to tak bardzo, że niemal przestała oddychać. Tylko mnie tym nakręca. Przyglądam się jej bez słowa, a potem zakładam włosy za ucho, opuszkami muskając policzek. Jest rozpalona, jakby od wewnątrz pożerał ją ogień. To żaden problem. Na szczęście potrafię zawodowo tańczyć w płomieniach. Nachylam się ku niej i szepczę:

– Skoro bawisz się w zbawicielkę uciśnionych, to pilnuj lepiej tych swoich szczurzą, żeby nie wbiegały pod nogi temu, komu nie powinny. Uwierz, nie każdy tutaj jest tak wyrozumiały jak ja. Chyba nie chcesz, żeby coś je pożarło? Kocury nie śpią, skarbie. – Szturcham nosem jej szyję i jeszcze bardziej ściszam głos: – I nie prowokuj mnie więcej, bo w ten sposób powodujesz, że sam mam coraz większą ochotę na małe polowanie, a uwierz, dzieciaki to ostatnie, co może mnie interesować. Ba, myślę wręcz, że właśnie znalazłem coś dużo lepszego.

Uśmiecham się drapieżnie, a ona nie odrywa ode mnie wzroku. Jej źrenice rozszerzają się ze strachu, jakby uzmysłowiła sobie, że spotkała na swojej drodze diabła. Właściwa reakcja. Robię krok w tył i słyszę, jak dopiero wtedy z drżeniem wypuszcza przetrzymywane zbyt długo powietrze.